

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.
1/2 " -- 40 "
1/4 " -- 20 "
1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Demonstracyjny gabinet.

Jednocześnie z podpisaniem traktatu gwarancyjnego litewsko-sowieckiego nastąpiła reorganizacja rządu w Polsce. Gabinet p. Bartla podał się do dymisji, na czele nowego zaś gabinetu stanął Józef Piłsudski, jako premier i jednocześnie minister wojny. Większość dawnych ministrów ustąpiła, a na ich miejsce weszły nowe osobistości: ministrem spraw wewnętrznych został gen. Sławoj-Sładkowski, lekarz z zawodu, ministrem sprawiedliwości p. Aleksander Meysztowicz, dyrektor wileńskiego Banku Ziemińskiego, ministrem rolnictwa p. K. Niezabytowski, b. właściciel ziemski z Mińszczyzny i t. d.

Utworzenie gabinetu w tym składzie dało powodów do przypuszczeń, że pozostaje ono w związku z traktatem litewsko-sowieckim i przez czas jakiś krążyły nawet uporczywe pogłoski o przygotowaniach do czynnego wystąpienia Polski przeciwko Litwie, względnie Rosji.

Istotnie dobór ludzi w gabinecie Piłsudskiego może dawać dużo do myślenia. Przedewszystkiem uderzający jest fakt stanięcia na czele gabinetu ministra wojny. Jest to bodaj jedyny wypadek w dziejach parlamentarnych i nadaje to charakterystyczne piętno całemu gabinetowi. Powierzenie teki ministra spraw wewnętrznych wojskowemu lekarzowi złośliwe języki przypisują dbałości premiera o stan sanitarny w państwie, co, jak wiadomo, jest rzeczą pierwszorzędnej wagi podczas wojny. Najbardziej jednakże zasłanawiającą jest nominacja p. Al. Meysztowicza na stanowisko ministra sprawiedliwości. P. Meysztowicz nie posiada żadnego wykształcenia prawniczego ani też jakichkolwiek innych kwalifikacji do piastowania tak odpowiedzialnej teki. Aresztowanie z jego inicjatywy 33 działaczy litewskich i białoruskich za czasów Litwy Środkowej bez żadnych podstaw praw-

nych świadczyć może tylko ujemnie o jego poczuciu praworządności. Wprowadzenie więc do gabinetu p. Meysztowicza musiało być podyktowane innemi względami, niż chęcią zastąpienia prof. Makowskiego bardziej kompetentną w jurysprudencji osobistością.

Z wielkim prawdopodobieństwem można przyjąć, że teka ministra sprawiedliwości dostała się w ręce p. Meysztowicza zupełnie przypadkowo. Również dobrze mógł objąć każdą inną tekę, najwidoczniej bowiem chodziło tu tylko o umożliwienie p. Meysztowiczowi zasiadania w Radzie Ministrów i wywierania swego wpływu na politykę rządu zarówno wewnętrzną, jak jeszcze bardziej zagraniczną. P. Meysztowicz znany jest ze swej skrajnej lituanofobji. Nie jest tajemnicą, że bezwzględnie wrogi stosunek „Słowa” do państwa i narodu litewskiego oparty jest w znacznej mierze na inspiracjach b. dziedzica Pojościa. Nienawiść do Litwinów unosi p. Meysztowicza tak daleko, że nie zawahał się wystąpić brutalnie przed paru laty na zjeździe ziemiańskim w Wilnie przeciwko biskupowi Matulewiczowi, co ze strony ultra-konserwatysty było rażącym wybrykiem. Agresywny imperjalizm p. Meysztowicza, zwłaszcza w kierunku Kowna zdecydował więc o powołaniu go do współpracy przez nowego premiera. Tak tylko można tłumaczyć oryginalną tę nominację.

Nic dziwnego więc, że natychmiast po utworzeniu gabinetu Piłsudskiego o tak demonstracyjnym obliczu zaczęły obiegać wieści o wojowniczych zamiarach rządu polskiego. Odroczenie Sejmu i brak zwykłego exposé ze strony nowego gabinetu nadały pogłoskom tym cechę prawdopodobieństwa, a podniecony ton artykułów prasy półurzędowej nie działał uspokajająco. Przez czas pewien panowało poważne zaniepokojenie, które znalazło mocny odźwięk w prasie zagranicznej. Obecnie obawy te nieco przycichły, ale całkiem nie ustąpiły.

Wprawdzie chłodna analiza traktatu litewko-sowieckiego, jaka nastąpiła po pierwotnej wrzawie i niczem nieusprawiedliwionem roznamietnieniu, nie wykazała w nim żadnych pierwiastków, bezpośrednio zagrażających obecnemu układowi sił na wschodzie Europy, gdyż stanowi on tylko potwierdzenie dawnego traktatu z r. 1920, który bynajmniej nie został przekreślony, upadł więc przez to powód do alarmów wojennych, wszakże nie brak jest u nas elementów niespokojnych i awanturniczych, któreby chętnie powitały jakąś nową imprezę a la bunt Żeligowskiego i które w tym celu gorliwie będą poszukiwały odpowiedniej okazji.

W braku lepszej na razie może wystarczyć chociażby głośnie zajście w kościele św. Trójcy w Kownie, które pisma wileńskie rozdmuchują usilnie, upatrując w niem dostateczny powód do interwencji ze strony Polski.

Oburzający istotnie ten wypadek, potępiony surowo przez arcybiskupa Skwireckiego i całą nie ogarniętą szowinizmem opinię litewską daje asumpt „Kurjerowi Wileńskiemu” do wystosowania pod adresem rządu polskiego kategorycznego żądania interwencji. Jakiej? Oczywiście zbrojnej, bo o dyplomatycznej niema mowy, skoro Polska z Litwą nie utrzymują żadnych stosunków dyplomatycznych.

Otóż ta pochopność organów prasy polskiej, pozostających w kontakcie z obecnym rządem, do wyolbrzymiania takich drobnych, chociaż niezmiernie smutnych i bolesnych wydarzeń, jak bójka w kościele, daje bardzo dużo do myślenia. Czyni to wrażenie, że chodzi tu o pretekst do czynnego wystąpienia względem państwa litewskiego. Z początku miał nim być traktat litewko-sowiecki, gdy jednakże po bliższem zastanowieniu, zawiódł pokładane w nim nadzieje wobec braku w nim momentów zaczepnych, zwrócono się do przebrzmiałej już awantury w kościele kowieńskim, usiłując oderwanemu faktowi na paści bandy szowinistów litewskich na procesję polską nadać charakter planowanego pogromu ludności polskiej. Gdy i ten powód okaże się zbyt blahy, będą czynione usiłowania znalezienia innych, równie poważnych, w rodzaju zatargu o lasek Podgajski.

Słuszność nakazuje stwierdzić, że tego rodzaju wojownicze nawoływania rozlegały się niejednokrotnie ze szpalt „Słowa” i „Kurjera Wileńskiego” i dawniej, ale wtedy nikt do nich nie przywiązywał większej wagi. Dziś, wobec objęcia rządów przez czynniki imperjalistyczne, głosy prasy im oddanej mają inny walor i inne znaczenie. Sama logika wskazuje na to, że rząd obecny nosi się z jakimiś doniosłymi projektami.

Trudno przecież przypuścić, aby Piłsudski po to tylko przelewał krew na ulicach Warszawy, aby zapewnić stanowiska ministrów dwom byłym obszarnikom z Kowieńszczyzny i Mińszczyzny!

W pierwszą rocznicę wskrzeszenia Unji w Wilnie.

Cicho a niepostrzeżenie minęła latem r. b. pierwsza rocznica wskrzeszenia Unji w Wilnie, która zaistniała u nas znowu w chwili, gdy przed rokiem w kaplicy domu biskupiego rektor seminarjum prawosławnego w Wilnie, archimandryta o. Filip Morozow złożył w ręce biskupa Matulewicza, wobec kancelarza wyznanie wiary katolickiej. Rychło w związku z tem nastąpiła nominacja wybitnego stopniem hierarchicznym konwertyty na rektora kościoła po-augustjańskiego, który niemal jednocześnie przeznaczono w Wilnie dla nabożeństw w obrządku słowiańsko-katolickim. Nie znaczy to, by wcześniej pojedyncze osoby, jak np. ks. Leon Żebrowski, p. Zofja Łunina, p. Bolesław Poczopko, o. Trofim Siemiacki i in. nie próbowali zdziałać coś w tym celu na gruncie wileńskim. Były to wszystko jednak dość liczne wysiłki, zakazane oczywiście przez carat, nieskuteczne czasu okupacji, a prawie bezowocne pod rządem polskim przez kilka pierwszych lat jego tu istnienia. Dlatego mówimy dziś tylko o rocznicy i to pierwszej.

Dla pełni obrazu należy tu dodać, że biskupowi Matulewiczowi nie brakło doradców, usiłujących wpłynąć nań, by żądał od o. Morozowa przejścia na obrządek... łaciński, rzekomo bezpieczniejszy, i wyrzeczenia się noszenia... brody! Naturalnie rada przyjęta nie była, jest jednak b. charakterystycznym dokumentem chwili.

Był to jeden z ostatnich aktów jurysdykcji biskupa Matulewicza w Wilnie, mocno wiążący to nazwisko z dziełem wskrzeszenia Unji w naszym grodzie. Lecz i tu zmuszeni jesteśmy zaraz uciec się do dystynkcji: bp. Matulewicz w tym wypadku uczynił, co powinien był, atoli nie w jego mocy było nadać zainauguowanemu dziełu kierunek, jaki uważał dlań za najwłaściwszy. Całkiem zato po myśli jego było niemal jednoczesne obsadzenie cerkwi w Torokaniach (w Kobryńskim) przez kapłana tej miary, co o. Paweł Demczuk, bazylijanin. Sądzonem jednak było, że to właśnie co rokowało nadzieje najlepsze, trwało tylko niedługo.

Przejście do Kościoła o. Morozowa postawiło w sytuacji bardzo dwuznacznej czasowego następcę bp. Matulewicza — biskupa sufragana. Właśnie przed rokiem po wizytacji pow. lidzkiego, bp. Michalkiewicz w szereg wyburzeń przed korespondentem „Kurjera Warszawskiego” nazwał obrządek łaciński... „czy-stym (sic) katolicyzmem” i uczuł się upoważnionym do oświadczeń, że żadnej Unji nam nie trzeba (sic)! Jakże rychło musiał faktycznie cofnąć te słowa. Oto będąc obecnym i przemawiając na zainauguowanym nabożeństwie w obrządku słowiańsko-katolickim, mówił już o 100 procentowej jego wartości i potrzebie wspierania tego dzieła.

Po tych wstępnych uwagach, stajemy zaraz przed zagadnieniem dla tematu naszego pierwszorzędnym, mianowicie *na kim* wskrzeszona w Wilnie, a przez to i w gawitującym doń kraju, Unja oprzeć się powinna? Pierwej niż odpowiemy na to pytanie, wskaźmy, na kim się ona odrazu oparła. Otóż oparła się Unja ni mniej ni więcej na bojowych u nas endekach, głoszących dotąd — o ironjo losu! — rzekomą szkodliwość jej jak dla sprawy polskiej, tak i dla związanej z nią katolickiej. Poprostu najbliżsi przyjaciele partyjni p. Obsta stali się firmowymi protektorami i patronami Unji i nieraz ją w ciągu roku

finansowali, co się im chwali. Pozornie może nawet здаwać się, że tylko Bogu należy dziękować i cieszyć się z nawrócenia endeckich Szawłów, ale zbyt ich znamy, byśmy mogli ulegać jakimś ogólniejszym złudzeniom. Stosunek ich do Unji żadnej bodaj zmianie nie uległ, tylko sama Unja, reprezentowana przez zdeklarowanych polonofilów, wydała się im minimalnie szkodliwą. Mogły też się obudzić w naszych endekach nadzieje, że ten wąty strumyczek słowiański rychło a napewno wpadnie do morza wszechlacińskiego, a więc i Unja na coś się przyda. Zaledwie jednostki wyjątkowe darzyły Unję głębokim sentymentem.

W ten sposób się stało, że ci, co najgłośniejszy u nas gardłowali za uchronieniem Kościoła katolickiego przed rosyjszczyzną, — co anatematyzowali mowę białoruską w kościele, dla samego, mylnie zresztą dopatrzonego w niej, podobieństwa do rosyjskiej, — co demagogicznie, jak „Dziennik Wileński”, podsuwali raz parafjanom myśl czynnego wystąpienia z kamieniem w rękę przeciw kaznodzieji białoruskiemu, co wreszcie głosili i głoszą, iż polskość a katolicyzm, to jedno, — ci wszyscy nagle się stali niezwykle tolerancyjnymi w kościele dla języka swego półtorawiekowego ciemni! Słuszną więc uwagę uczynił ktoś, interesujący się zagadnieniami religijnymi: „któż to mógł się kiedy spodziewać, że tak niepomiernie lżony *Załatoj Altarik*, a poniekąd i *Trebnik*, siłą faktów staną się doprawdy aktualnymi wydawnictwami w Wilnie, godnymi przedruku?!”

A najznamienniejsze w tem wszystkim, że ozwał się w kościele katolickim w Wilnie w kazaniach język rosyjski z ust właśnie przybysza z Wołogdy!!... I to wtedy, gdy najrdzenniejszy, Białorusin katolik prawie nie może usłyszeć w kościele swej mowy krajowej ani w niej się odezwać. Zestawmy to sobie: tam — człowiek obcy, rdzenny Rosjanin, emigrant, tu — najprawdziwszy autochton, syn tej ziemi, zrośnięty z nią całą swą istotą. Tam się mówi do 75 proc. ciekawskich, oczywiście łacinników i mieniących się napewno Polakami, tuby audytorjum było swoje, zgromadzone nie na widowisko, lecz na wykład wiary. Tak, ale tam mówi *persona grata* dla samej redakcji „Dziennika Wileńskiego”, trzymająca się oburącz endecji, tuby mówił Białorusin t. j. parjas, dobry jako mięso armatnie i obiekt do opodatkowania, przენigdy jako osoba pełno-prawna!..

Niechże sobie o. Morozow i nadal cieszy się łaskami endecji, nie umiając czy nie chcąc znaleźć lepszego dla siebie oparcia, ale niech przytem nie zapomina, że gdy po apostazji o. Naumienki i psalmisty Szwedki, p. Obst klepał go poufale po ramieniu, prawiąc mu w „Dz. Wil.” swe morały, to jednocześnie najmiłszy tegoż kompan, p. P. Kownacki w „Głosie Nar.” piętnował cały ruch unijny u nas, jako wręcz szkodliwy dla sprawy narodowej. Kruche tedy ma ojciec archimandryta oparcie u endeków i tylko patrzeć gdy zostanie rychło przez nich opuszczony. Aljans z endecją dla unjonizmu może być tylko kompromitującym. Nie po drodze z nią tym, którzy by dziś szczerze chcieli coś dla Unji zrobić.

Może jednak społeczeństwo rosyjskie w Wilnie dałoby o. Morozowowi mocny punkt oparcia do pracy unijnej? W minimalnym tylko stopniu! Rosjanie tak wyrosli w Wilnie i z nim ściśle związani, jak i liczni tu emigranci dali znikomy zaledwie odsetek adherentów o. Morozowa. Bez różnicy, lewicowcy, czy monarchiści. Mało onby się zwiększył

wtedy, jeśliby rzecznikiem Unji w Wilnie była osoba bardziej popularna w społeczeństwie rosyjskiem. Nie szukajmy dziś wśród wileńskich Rosjan Czaadajewych, Odojewskich, Wołkońskich, nie mówiąc już o Sołowjowych, Gagarynych, Pierlingach... Ich tu niema, zato się znajdują napewno teozofowie, metodyści i in. Zapoczątkowana przed rokiem Unja przyszła już na świat *cum beneficio inventarii*, wielorako obciążona i dlatego wymaga gruntownej sanacji. Raz przecie powinny ustać takie dawane jej nazwy, jak „kazionnaja”, „filipowskaja”, „morozowskaja” i in.

We wrotach carskich naszej cerkiewki unickiej w Wilnie winien stanąć cichy a pokorny kapłan, *bohomołec*, ma się on zadowolić narazie najmniejszą ilością wyznawców, byle szczerych i tak rozpocząć żmudną swą pracę od podstaw. Ma on być dalej krew z krwi, kość z kości ludu tutejszego białoruskiego i nie wstydić się mowy ludowej, używając jej w mieście obok rosyjskiej, a na wsi — wyłącznie. *Unja w naszym kraju ma oprzeć się tylko na Białorusinach, tak jak na Wołyniu i w Galicji tylko na Ukraińcach*. Natura i logika rzeczy tego wymagają. Tymczasem w Wilnie nic a nic nie zrobiono w tym właśnie kierunku. Zlekceważenie iście endeckie przez o. Morozowa mów krajowych zwróciło nawet uwagę uczonego mnicha benedyktyńskiego, o. Andrzeja Stoelena (Flamanda), który będąc w Wilnie doradzał użycie tu podczas liturgji wielkanocnej — przy odczytywaniu w różnych językach początku ewangelji według św. Jana, — jakiegoś języka krajowego, np. litewskiego... Rozumie się daremnie.

Jeśli wskrzeszona Unja chce rzeczywiście utrwalić tu swój byt, winna szukać przede wszystkim oparcia w ludności krajowej, co wcale jeszcze nie jest jednoznaczne z jakimś ekskluzywizmem, bo niemasz większego wroga dla doktryny wyłączości jak krajowość, zwalczająca wszelkie prerosty, a dążąca do harmonji.

Są pewne oznaki, że nawet o. Morozow powoli zaczyna wyczuwać już kapitalny błąd swej dotychczasowej orjentacji i szukać dla pracy unijnej oparcia bardziej racjonalnego, t. j. w rdzennej ludności naszego kraju.

Latovicus.

Niepoprawni.

Kiedy w roku 1905-6 wszystkie bodaj narodowości wielkiego Imperjum rosyjskiego, korzystając z pierwszych przeblasków swobody, rzuciły się żywiołowo do akcji politycznej i oświatowej, stan rzeczy, wynikający z okresu długiego niewoli był taki, że obie te sprawy pokrywały się wzajem. I tak też były przez rząd rosyjski traktowane.

Szerzenie oświaty polskiej, białoruskiej lub litewskiej było uważane, mimo wszelkie akcesorja lojalizmu, za chroniczną, starą chorobę *miatież'u*, w której Polacy oczywiście prym trzymali.

Postępowaniem zresztą swoim rząd rosyjski cechę tę poczynał kulturalnych pogłębiał i nawet tworzył ją tam, gdzie o niej nie myślano w zasadzie. Ale zakazy, przeciwdziałania, szykany, zamykanie raz dozwolonych szkół, pism, instytucyj kulturalnych, doszukiwanie się przez nasłanych z Rosji działaczy niebezpieczeństwa państwowego w każdym „nielegalnym” komplecie dzieci, uczonych we własnym języku za-

sad wiary czy elementarza, wszystko to kierowało nieuchronnie całą sprawę oświaty na tory konspiracji i zatrzymało na długie lata atmosferę oświatową specyficznym odorem politycznym, z którego to zatrucia niestety dotąd nie możemy się uleczyć. Nie jedno obciążenie dziedziczne po zaborcach dźwigamy w swem życiu państwowem. Nie jeden błąd, z któregośmy drwili, powtarzamy ze ślepią wiarą w jego wartość dodatnią. Nie jedną metodę, która nas oburzała, gdy była do nas stosowana, teraz stosujemy do innych, niepomni że przecież tamte (a więc i te), dawały rezultaty tylko ujemne.

Są dwie metody odnoszenia się do zjawisk powstających przy nowych warunkach istnienia państwa, lub zmianie jego ustroju. Albo brutalne represje, w imię zachowania starego porządku, który dla wielu ludzi jest wygodnym fotelem służącym do życiowej drzemki, albo zrozumienie tych nowych zjawisk społecznych czy narodowościowych i odnoszenie się do nich w ten sposób, by nie tylko nie groziły niebezpieczeństwem, ale przeciwnie były nową siłą państwowo-twórczą, zdolną wlać nieużyte dotąd energie w żyły organizmu państwowego.

Pozostaje jeszcze trzeci system, najłatwiejszy: ignorowanie, lekceważące wzruszenie ramion na sprawy mało znane, a więc mało ważne. Społeczeństwo polskie, lubiące w wielu wypadkach wewnętrznego życia duchowego iść po linii najmniejszego oporu, tę ostatnią drogę obrało w odnoszeniu się do ruchów narodowych w naszym kraju.

Epoka rosyjska nie mogła u nas wytworzyć demokratycznej inteligencji polskiej, nie było dla niej miejsca, nieliczne grono adwokatów i lekarzy zbyt mało mogło mieć kontaktu z szerokimi masami wiejskimi, by inaczej jak cokolwiek teoretycznie i „z miejska” przyglądać się objawom nowego życia społecznego na wsi po r. 1905. Inaczej było z ziemiaństwem, które tę wieś miało za sąsiadów, jak na dłoni widziało poruszenia społeczne i narodowe włościan litewskich i białoruskich, odczuwało wstrząsy targające tym zamartwym dotąd organizmem, zawierającym w sobie jednak siły dynamiczne, z którymi nie liczyć się, było wielkim błędem.

Na razie przeraziło i oszołomiło ziemiaństwo, zakryło mu zupełnie oczy na wszystko inne prastare chłopskie hasło: „ziemielki!” Walka o ziemię i lasy, w niektórych wypadkach hojne „pańskie” dary nieużytków dla bezrolnych w celu uspokojenia wzburzonych chamów, z którymi „dyplomatyżować i flirtować” należało, jak się wyrażał w owe czasy jeden z późniejszych posłów do Dumy, obawa by rząd nie zaspokoił wiejskich apetytów kosztem latyfundiów, to wszystko tak pochłaniało ówczesne ziemiaństwo polskie, pretendujące do ciężkiej i odpowiedzialnej roli gospodarzy kraju, iż straciło zupełnie z oczu inne, daleko poważniejsze wartości.

Równoległe i bodaj silniej od ekonomicznego wzmagają się po r. 1905 ruch narodowościowy litewski i białoruski. Cechy, jakie mają dziś oba kierunki oświaty tych dwóch narodowości, cechy tak niemiłe dla społeczeństwa polskiego i reprezentowanej przez nie idei państwowej, zawdzięczamy w przeważnej mierze stanowisku Polaków w tym kraju odnośnie do budzącej się oświaty i wogóle ruchów narodowych litewskiego i białoruskiego. Z bardzo małymi wyjątkami odnoszono się do tych poczynań wrogo lub obojętnie, uważając je za sztuczne prądy idące.. z Petersburga „na złość” Polakom litewskim. Nie starano się brać udziału w tym ruchu, nie zrobiono literalnie nic, by

należać do roboty, która się silnie, uparcie, celowo robiła, na oczach obojętnych i nieprzewidujących widzów.

Piszący te słowa nie jedną przeprowadził dyskusję, nie jeden napisał w owe czasy artykuł, domagający się od społeczeństwa polskiego, jako odłamu najzamożniejszego i najbardziej kulturalnego w kraju, wystąpienia czynnego w stosunku do ruchów oświatowych literacko-białoruskich.

Nigdy nie można było nic uzyskać: ani gazety w jednym z tych języków, ani wydawnictw, ani wejścia w związki kulturalne. Hasło: osobno, oni sobie, my sobie, było kanonem.

„Przecież mamy swoją oświatę” odpowiadali ziemianie z głębi Żmudzi lub Białej Rusi, a na uwagę, że tam ani słowa po polsku nikt nie umie, słyszeliśmy odpowiedź „to przecież mamy swoje szkoły w Królestwie, wolę dać dać na Macierz Szkolną w Warszawie, na oświatę polską w Wilnie, ale tamto rosyjskie wymyśli”. Taki był patryjotyzm polskiego objaw.. najłatwiejszy!..

Nie będę się rozwodził nad rezultatem tych metod w stosunku do ruchu litewskiego. Są to sprawy już zupełnie jasne, wyraźnie skryształizowane, przeniesione w dziedzinę stosunków międzynarodowych, niejako kwestja zamknięta. Kwestja otwartą natomiast, jeszcze nie ustaloną, jest sprawa białoruska wogóle, a w granicach Rzeczypospolitej w szczególności. I znów muszę sięgnąć do przeszłości, tym razem bliższej. Dwa lata temu, jeśli się nie mylę, słuchaliśmy w licznej gronie w lokalu ówczesnej Delegatury referatu, wygłoszonego przez jednego z miejscowych znawców o sprawie białoruskiej. Była to konferencja zwołana dla specjalnego wysłannika rządu centralnego, delegowanego do zbadania stosunków białoruskich na miejscu.

W dyskusji a raczej przemówieniach informacyjnych, słyszeliśmy głosy ludzi niezaprzeczenie tutejszych, zapewniających identycznie tak, jak przed laty, że „to wszystko idzie z Rosji, nie ma przyszłości, jest sztuczną intrygą nieprzyjaciół Polski” i t. p. Rezultatem tej konferencji było, iż delegat rządu nie widział się w Wilnie bodaj z nikim ze społeczeństwa białoruskiego, ani nawet z stojącymi blisko tegoż społeczeństwa Polakami.

Jednostronne badanie sprawy wydało jednostronną opinię. Znów zlekceważono, mimo nauki przeszłości, rzecz bardzo ważną.

Ostatnimi czasy, rozwój „hurtków” Białoruskiej Hromady zaniepokoił społeczeństwo polskie. Oto znów coś się dzieje obok nas, bez nas. A jakże by mogło być inaczej, wobec wyżej przytoczonych faktów, poruszonych nader pobieżnie, oświetlających pewne momenty wytyczne błędnego postępowania. Dziwnym trafem wstępne artykuły „Kurjera Wileńskiego” i „Przeгляdu Wileńskiego” w zbliżonej formie domagają się zmiany systemu rządowego odnośnie do Białorusinów. Oczywiście zmiany te będą musiały nastąpić pod naciskiem okoliczności, ale jakże bardzo kompromitujące są takie ustępstwa, robione nie z rozumnego poczucia korzyści państwowych, lecz wskutek postawy przeciwnika, który nim być nie powinien, gdyż to, co zdobywa sobie dziś—jutro walką coraz ostrzejszą, to powinien był dawno otrzymać jako obywatel wolnej Rzeczypospolitej. Niezmiernie wiele taktu i ostrożności muszą wykaazać teraz ludzie, którym przypadnie w udziale ustalić rozmiar tych zmian i ustępstw.

Radykalne zmiany łatwo mogą się przerodzić w niebezpieczne eksperymenty, niekompletne, poło-

wieczne, wywołają opozycję i nie zadowolnią nikogo. Jedyną drogą prowadzącą do celu a dotąd poszukiwaną na najbliższych torach, jest wejście w możliwie ścisły kontakt społeczeństwa polskiego z białoruskiem, w dziedzinie prasy, oświaty, kultury, obecnie nie wiele interesującej nasz obojętny ogół.

H. R.

Jeszcze o nadużywaniu cierpliwości.

Podnoszona tylokrotnie cierpliwość mieszkańca naszego kraju w ogólności, a na prowincji zamieszkałego w szczególności jest doprawdy *bezgraniczna*.

Jednym z przykładów tej zalety (która jednak czasem nabiera charakteru wady), narażanej na każdym kroku na ciężkie próby — jest poruszona kiedyś przezemnie na łamach „Przegl. Wileńskiego” sprawa nadania obywatelstwa, a jak określił w jednym z numerów „Kurjera Wileńskiego” p. B. Sw. „*uobywatelnienia*”. Wykazałem wtedy nieopisany chaos, brak wytycznej linii, pomimo, a może raczej wskutek dziesiątków dekretów, okólników i rozporządzeń, — gorliwie przez centralę warszawską rzucanych na tę „Syberję Polską” gdzie wszyscy powinni przejść przez szereg udręczeń, aby stać się godnymi zaszczytu należenia do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Zresztą tam wielkie lasy, bezludne przestrzenie — myśli przeciętny warszawski biurokrata — rzuca ten paperek, niech pofruwa sobie w pustce tamtejszej, a jeżeli kogoś świstek ten skrzywdzi, ktoś zapłacze lub zaklnie, ktoś lojalny do tej pory zacznie zezować w inną stronę, — cóż to może obchodzić urzędujących w Warszawie p. p. referentów, koncyperentów i manipulantów. Biurokratyczna ta armia potrafi unicestwić najlepsze nawet chęci i zamiary, gdy wypadkiem wykażą je ministrowie i szefowie rządu.

Sprawa ta nie przestaje być palącą i aktualną i nadal. Ze słów p. Wimbora usłyszeliśmy, za pośrednictwem „Kurj. Wil.”, że osób posiadających obywatelstwo polskie jest w Wilnie zaledwie 40 proc.; teraz od dnia 1-go października wszyscy muszą się na nowo zameldować, naturalnie *darmo nic się nie robi*, a zatem nakłada się nowy haracz na szerokie koła ludności pracującej lub bezrobotnej; być może zresztą ta ostatnia będzie zwolniona od opłat, po wystaniu po korytarzach i przedpokojach policyjnych lub innych urzędów. Możemy uważać to za nader krzywdzące dla *najuboższych sfer ludności*, a zasadniczo bezprawne w stosunku do wszystkich mieszkańców miasta. Komisje, które mają być wyznaczane w gminach — nie wzbudzają najmniejszego zaufania, albowiem składać się będą przeważnie z obszarników, którzy będą załatwiać swoje osobiste porachunki, wysuwając oskarżenia o bolszewizm, którym tak chętnie wierzą nasze strachajły; każdy nawet Polak, mający bardziej radykalne poglądy jest uważany za niebezpiecznego wywrotowca, cóż dopiero Żyd lub Białorusin! Wiem coś o tem z własnego doświadczenia.

Wydawało się nam, że po przewrocie majowym nastąpią zmiany na lepsze, lecz niestety jakoś na to się nie zanosi. Tymczasem dzieją się rzeczy oburzające. Oto fakty nowe, które dołączam do szeregu dawnych, zamieszczonych w „Przegl. Wileńskim”. Pewna rodzina ukraińska (matka zresztą Polka tutejsza) przez długi czas nie uzyskiwała obywa-

telstwa i liczna ta niezamożna rodzina musiała opłacać od głowy po 30 zł., — gdy równocześnie synów wzięto do wojska. Uważamy to za pogwałcenie nie tylko prawa międzynarodowego, lecz normalnego poczucia sprawiedliwości. Cóż by to za oburzenie wywołało u nas, gdyby Niemcy tak postąpili? Ale nam to wolno — *victores sumus!*

Jak się okazuje bowiem, istnieje okólnik ministerjalny, wyjaśniający, że służba w wojsku polskim z *poboru* bynajmniej nie stanowi dostatecznej legitymacji do otrzymania obywatelstwa polskiego. Dotyczy to jedynie *ochotników!* Powinność zaś wojskową muszą odbywać również t. zw. *bezpaństwowcy* — specjalna kategoria ludności, wynaleziona i tak ochrzczona przez pomysłowych biurokratów galicyjskich. Curiosum to oczywiście nigdzie nie jest spotykane poza granicami państwa polskiego i jest wynalazkiem bezsprzecznym administracji polskiej.

Drugi przykład: izraelitka pewna zam. w m. Leonpolu nie może dotąd pomimo doskonałych referencji otrzymać obywatelstwa, o które prosi *około roku*, pomimo tego, że ojciec jej z innymi mniejszemi dziećmi otrzymał obywatelstwo polskie, chociaż urodzony w *Witebsku*, gdy ona urodziła się w Leonpolu, a więc na terenie Rzeczypospolitej Polskiej. Druga izraelitka, zamieszkała tamże, karana za posyłanie do polskiej szkółki tajnej przez władze carskie, nie może również otrzymać od 3 lat, pomimo *pierwszorzędnych* referencji — obywatelstwa polskiego, równocześnie zaś zacięty znany wróg polskości, członek „sojuza Michaiła Archangieła”, czarnoseciniec, otrzymał z łatwością przy pomocy pewnego obszarnika obywatelstwo polskie. Trzeba dodać, że ten osobnik, rdzenny Rosjanin podczas spisu ludności miał czelność podać się za *Polaka*; okoliczność ta, a może fakt, że jest on nienawidzony przez miejscowych włościan były zapewne patentem dla niego na uzyskanie obywatelstwa polskiego za rządów witosowo-endeckich, lecz przecież są to rzeczy oburzające do głębi!

U nas kto krytykuje ostro, chociaż może z bólem w sercu, system obecnych rządów, lub metody stosowane przez administrację jest oskarżony natychmiast o bolszewizm i agitację antypaństwową, kto zaś dawniej z pianą na wszystko co polskie napadał, donosy słał i węszył wszędzie polską intrygę, a teraz się przyczaił, udaje baranka potulnego, ba nawet hurra patryjotę, ten jest w łaskach, jest przyjaciele, niemal salwatorem polskości w naszym kraju, zasługując się endekom gnębieniem t. zw. mniejszości narodowych. Te wszystkie i inne udręki i szykany cierpliwie są znoszone, lecz należy zawsze pamiętać, że i cięciwa ma moc preżną do pewnego tylko stopnia, cóż dopiero nerwy ludzi zniszczonych i zmęczonych przez wojnę.

To, cośmy wyłożyli, to drobna zaledwie cząstka tych wszystkich utrapień, którym ludność nasza podlega. Wątpimy, by jej lojalność i poczucie państwowe wzrosły z powodu, że otrzyma obywatelstwo po tylu męczarniach i za sowitą opłatą, tembardziej gdy tylu mieszkańców nie uzyska jego wcale wobec powodzi sprzecznych i nielogicznych rozporządzeń, wydawanych przez centralę, na które miejscowe władze nic przy najlepszych chęciach poradzić nie będą mogły. Cóż dopiero będzie się działo tam, gdzie zamiast dobrych chęci — jak to bywa najczęściej — wystąpi zła wola?

Euzebjusz Łopaciński.

Postronna polemika ze „Słowem“.

Przyszedł gość do gospodarza domu, prosząc o audjencję osobistą. — W tem gospodarz otworzył drzwi do sali (czytaj — gazety) i stoczył całą rozmowę wobec publiczności. — Ale rozprawił sam — gość milczał. — Czy dziwnem jest że repliki zażądał?

Proszę uprzejmie Sz. Redakcję „Przeгляdu Wileńskiego“ o udzielenie gościnności dla poniższych słów, które na łamach „Słowa“ miejsca nie otrzymały. W. S.

List mój prywatny do sz. redaktora „Słowa“, znalazł się niespodziewanie dla mnie na łamach jego gazety (Nr. 195 z zeszłego miesiąca). Poczynione mi zarzuty zostały dotąd bez odpowiedzi. *Du choc des opinions jaillit la verité* — mówią z bystrością im właściwą — Francuzi. Zetrzyjmy więc krzemienie; czy nie dobędziemy z nich iskier prawdy?...

Krytyk mój p. Cat. nie wierzy w siłą tkwiącą w rasach i ludach. Niewierzy w młode republiki obecne, twierdzi, że nie narody, ale dynastje tworzą państwa.

Ale co i kto tworzy dynastje? — Naród. — Więc naród, w normalnym porządku rzeczy, jest twórcą dynastji i państwa. *Dynastja* własna lub skądinąd przybyła, jeśli się nie połączy z ideą i czuciem narodu, jest anormalna, jeśli dla celów swoich specjalnych działa i żyje, wykoleja naród z dróg przyrodzonych i może państwo zgubić. Wielkie tego przykłady uderzają w historii. (Ze wspomnimy tylko dynastyczne od swego początku do końca państwo warego — rosyjskie, depczące kilkanaście narodów, państwo Hohenzollernów, gwoli zaborczości tej dynastji nie chluba, ale nieszczęście Niemiec; nawet polskie niegdyś, niszczące wojny szwedzkie, toczone w imieniu „dynastycznego prawa“ do korony szwedzkiej, itp. itp.).

Główną jest zatem rzeczą poznać ideę i zadanie narodu a nie dynastji, która nad nim panuje. — Ona jest przechodnią, naród trwa i sięga w nieśmiertelność... Nie na interes więc i rodowe tradycje dynastji mamy mieć zwróconą uwagę, ale na ideę i zadanie narodu.

Czy idea i zadanie narodu, które jak gwiazda przewodnia, jak sztandar idą przed nim, zmieniają się w ciągu wieków? Mniemam że nie, ale w olbrzymim ruchu naprzód całej ludzkości, zmieniają się — formy i drogi. Zadaniem Litwy w swoim czasie było ocalenie wschodniej Słowiańszczyzny od nawały mongolskiej, od straszego wladztwa Tatarów; przez obronę Białorusi, Kijowa i Podola aż po Euksyn, dokonała tego zadania znakomicie. Polska miała zadanie uformować następnie państwo z trzech narodów, i w tej potędze bronić i krzewić chrześcijańską i europejską kulturę na zagrożonym wschodzie Europy. Uczyniła to, ale niedoskonałe i poniosła ciężkie skutki tej niedoskonałości, razem z narodami wciągniętymi w jej orbitę.

Z tą samą wielką przewodnią ideą obrony i rozwoju kultury zbawczej dla świata powstaje Polska obecnie, ale jeśli nie ma zadać kłamu najlepszym głosom swojej przeszłości, musi iść po nowych drogach, które postęp świata otworzył i wskazał. Ewolucja jest prawem życia, *W tył się nie powraca*. Ze sztandarem nieśmiertelnej idei: Naprzód, naprzód!

Tym postępowaniem w świecie, tym wielkim krokiem ludzkości naprzód, jest wcielanie ewolucyjne rozwijającego się chrześcijańskiego ideału — brater-

stwa narodów. Bardzo jeszcze niedołęzne, w kolebce „Ligi“, pojęcie braterstwa narodów, raz proklamowane, już nie wróci do niebytu; sądzić należy, że geniusz ludzkości mimo zamachów mocy przeciwnych i niewątpliwych walk, kształcić je będzie dalej, jako prawdę moralną i hasło odczute powszechnie od równika do biegunów.

Polska ma wspaniałe pole dowiedzenia czy braterstwo narodów pojmuje, i nie zależy to bynajmniej od formy, jaką jej rząd przybierze — republikańskiej czy monarchicznej. Nowa ta w świecie idea wybornie harmonizuje z naszą wielką wspólną przeszłością. Hasłem jej, nasze, wypisane złotymi literami (ale bodaj zawsze więcej na obłokach, jak na ziemi) — *Wolni z wolnymi!* i mocno u nas odczuwane, mianowicie w pierwszych okresach wybicia się na niepodległość.

Ale Polska obecna nie daje wcale dowodu zrozumienia własnych tradycyjnych ideałów. Politycy dzisiejsi naszych krajów, wołają czytać napis *Wolni z wolnymi*, tylko na obłokach lub w literaturze, a ludy — narody odrodzone, biorące udział w życiu politycznym — chcą czytać to hasło tylko realnie, na ziemi. W granicach tego lub innego uciskającego państwa, politycy dnia wstrzymują działanie praw przyrodzonych, dozwolonych; tedy ludy krępowane chwytają się praw sfalszowanych i niedozwolonych. Tą dysharmonją, tą tłumioną i wybuchającą walką osłabia się i choruje każde państwo.

Jakaż na to rada, a mianowicie u nas?

Jedna — przed wiekami i na wieki. Bez niej świat z bezładu i nieszczęść wyjść nie może. W silnych szrankach, „Dekalogu“, w szrankach moralnych i administracyjnych, równie obowiązujących subjekty rządzące jak i objekty rządzone, z niestygnącą bacznością od wschodnich i zachodnich granic, *rozwiązać pęta duszom narodowym*, uznać swobodę rozwoju ich języka i kultury na ich własnej, odwiecznej ziemi, przyznać im ich wyłączone, krwią ich własną w ostatnich zapasach obronione dziedzictwa i podzielić mądrze dziedzictwa historyczne wspólne, niemiec ukrytego ognia nienawiści, ale jawny, twórczy ogień miłości ludzkiej a sprawiedliwości państwowej. Budować życie nowe, nie z samych gruzów. Wtedy tylko ogromne obszary dawnej Rzeczypospolitej mogą zakwitnąć wieczystymi przymierzami narodów naszych wolnych, każdy, w stopniu swego rozwoju i losu wskazanego przez zrządzenia dziejowe — właściwie się rządzących, narodów odwiecznie bratnich, związanych wspólnymi interesami, wspólną obroną i wspólnym celem. Wtedy się wszyscy zrozumiemy.

Krytyk mój zarzuci mi zapewne — „Sentymenty“, jak to już uczynił. Rzecz jednak ciekawa jaka to polityka obywa się bez sentymentów? Mickiewicz już w Księgach Pielgrzymstwa uczył nas o sentymentach handlarskich Anglików: chciwość bogactwa i zarobku w polityce. Oglądamy sentymenty Sowieców: nienawiść wszelkiej wyższości aż do starcia w proch kultury, żądza użycia i zniszczenia. Każda polityka podszyta jest sentymentami. Jeśli moje są „historyczne“, mogą tylko być wdzięczną memu krytykowi.

Ale program braterski — to rzecz długa i trudna do wykonania. Wymaga obustronnej dobrej woli, obustronnej ofiarności, szczerzej pracy, mozolnego stosowania sprawiedliwości na każdym poszczególnym polu.

Tak. Ale porozumienie staje się niezbędne i naglące. Siłą odporną niezłomną, przeciw hakacie

z jednej strony, a przeciw mongolstwu z drugiej, *my sami na własnych ziemiach wykuć musimy*. Żadna siła zewnętrzna tej siły nie zastąpi. A nie wykujemy jej nigdy — w rozterce i rozdzieleniu pojęć, serc i celów politycznych trzech odwiecznych narodowych dziedziców naszych ziem.

Konstancja Skirmuntt.

WOLNA TRYBUNA.

Dziesięciolecie „Krynicy“.

Dnia 8-X r. b. upłynęło równo lat dziesięć, jak zaczął wychodzić tygodnik białoruski „Krynica“, a w drugiej połowie b. m. redakcja zamierza urządzić obchód tej rocznicy.

Mało wiemy, jak wyglądał i jakim był ten tygodnik w Petersburgu (1917) i Mińsku (1918).

Numery tego pierwszego okresu należą dziś prawie do rzadkości bibliograficznych. „Krynica“ miała być tam organem białoruskiej demokracji chrześcijańskiej, zapowiadającej się np. nad Newą b. obiecująco. Więc gdy mowa o tym tygodniku, bierze się pod uwagę jedynie wileński jego okres (od r. 1919).

„Krynica“ w Wilnie przeszła dużą ewolucję. Ponieważ punktem wyjścia jej był światopogląd chrześcijańsko-demokratyczny, do którego znowu dziś dość znacznie się zbliżyła, możemy mówić śmiało, że linja rozwojowa „Krynicy“ tworzy jakby b. nieznacznie niedomkniętą elipsę. Swój pogląd na „Krynice“ miałem możność wypowiedzieć już w szeregu artykułów, drukowanych w „Przeglądzie Wileńskim“ w l. 1923–1925, więc dziś go w całości powtarzać nie będę.

Wielka szkoda, że „Krynica“, powstając w Wilnie, wzięła całkowity rozbrat z kierunkiem „Białorusa“, swego naturalnego poprzednika, który chadzając drogami bezpieczniejszemi, jeśliby tylko był kontynuowany dotychczas, osiągnął by napewno lepsze wyniki. Tygodnik, który święci swe X-lecie, wolał być u nas nie tylko trębaczem pewnych idei, lecz wprost rąbajką, zbyt już często i wiele ustępującą z zasad demokracji chrześcijańskiej.

Ale, jak się wyżej rzekło, linja rozwojowa „Krynicy“ jest niedomkniętą elipsą, więc naszym głównym życzeniem jest dziś, by domknięcie i to *szczęsne* nastąpiło co rychlej. Wielki czas przestać „hulać“ i „rąbać“, a zacząć tworzyć w poczuciu największej odpowiedzialności za słowa, za budzone niemi uczucia i chęci i za dokonywane w konsekwencji ich czyny. Zrózniczkowanie w społeczeństwie białoruskiem dokonało się *najzupełniej*. Każdy musi być czemś: hramadowiec — hramadowcem, sielniwiec — sielniwczem, więc i „Krynica“ winna raz wreszcie stać się *odpowiedzialnym* organem białoruskiej chrześcijańskiej demokracji. „Krynica“ powinna wreszcie zacząć pisać o niedomaganiach i bolączkach życia religijnego na Białorusi. Dziś o tem milczy, niewiadomo komu pozostawiając ten wysoce aktualny temat, będący jej wyłączną domeną.

Gdy stanie się „Krynica“ tem czem być winna, *niepomniernie urośnie jej znaczenie* i uzyska sporo walorów polemicznych.

Poniekąd nie bez wpływu na tę decyzję powinien pozostać fakt, iż hramadowcy nie przestają deklinować przez wszystkie odmiany: chadek, cha-

deka..., chadecy, chadeków..., chadecki, chadeckie... Niechże w odpowiedzi na te wołania: *na scenę!* zaistnieją wreszcie chadecy białoruscy, kryjący się dziś za kulismami i zajęci robieniem teatralnych błyskawic i grzmotów...

Porozumiejmy się jeszcze co do terminu. Oczywiście, polska chadecja, prawie cała idąca na pasku za endecją, nawskroś przesiąknięta hasłami eksterminacji względem mniejszości i bojowego antysemityzmu, nigdy nie powinna być wzorem dla chadecji białoruskiej. Będzie ona raczej przykładem tego, czego szczególnie wypadnie unikać białoruskim chadekom. Wara więc endekom od krytyki „Krynicy“! Chadecja, jako taka, potrafi być i radykalną, gdzie ujrzy jawną krzywdę ludu i nieznośne warunki jego bytu w mieście lub na wsi. O ten radykalizm woła dziś artykuł wstępny nawet „Przeglądu Katolickiego“.

Nigdy się nieoptłaci propagować, jak to *dotychczas* robiła „Krynica“, kierunek chrześcijańsko-demokratyczny we własnej interpretacji. Jeden jest tylko autentyczny: to autoryzowany przez Kościół. Ostatecznie, nie była bez pożytku „Krynica“ i dotychczas, boć wszystko na świecie, w obliczu celów wyższych a tajemnych, jest po swojemu pożytecznym. My jednak „Krynicy“ życzymy zdobycia nierównie większych zasług przed Kościołem i Białorusią. *Fiat!*

Obserwator.

Z mego notatnika.

Odpyw.

Inkorporacja Wileńszczyzny do Polski wywołała w miejscowym społeczeństwie polskim taki entuzjazm i takie podniecenie uczuć narodowych, że pod ich wpływem rozpoczęła się gorączkowa akcja unifikacyjna, zmierzająca do zatarcia wszelkich śladów odrębności naszego kraju. Jakiś dziki szal niszczyielski opanował nawet zdeklarowanych doniedawna autonomistów i federalistów. Wszelka myśl o samodzielności była surowo potępiana przez opinię publiczną, a nieliczne jednostki, które potrafiły zachować zimną krew i oparły się ogólnemu uniesieniu, narażyły się na bezwzględny bojkot i najrozmaitsze szykany.

Z biegiem czasu zaczęło następować otrzeźwienie. Pierwotny zapał mijał a coraz częściej występowało niezadowolone z dokonanych czynów samozaparcia się i samounicestwienia. Począł się budzić w zaczadzonych umysłach krytycyzm. Coraz śmieiej i mocniej rozlegały się głosy protestu przeciwko zachłanności Warszawy, przeciwko napływowi karierowiczów galicyjskich, przeciwko upośledzeniu żywiołu miejscowego.

Padło wreszcie hasło autonomji. Na razie nie śmiało, półgębkiem, potem rozlegać się zaczęło coraz mocniej, aż wreszcie znalazło zdecydowanych wyznawców, którzy wypisali je wielkimi literami na swym sztandarze.

Mam na myśli „Stronnictwo chłopskie ziemi Wileńskiej i Nowogródzkiej“, założone przez postów Wędziagolskiego, Dubrownika i Adamowicza, secesjonistów z Wyzwolenia. Grupa ta, zdaje się, zabierać energicznie do pracy organizacyjnej i agitacyjnej, gdyż założyła w Wilnie własne pismo ludowe p. t. „Wioskowy Dzwon“, którego pierwszy numer ukazał się w końcu września.

Wśród postulatów, figurujących w programie tego stronnictwa, na pierwszym planie widnieją: autonomja naszego kraju i Sejm Wileński. Jest to bardzo znamienne. Świadczy to, że poczucie odrębności w masie włościan „tutejszych”, złożonej z wynarodowionych Litwinów i Białorusinów, pociągniętych pokostem polonizacyjnym nie zamarło doszczętnie, mimo gorliwych zabiegów Straży Kresowej i propagandy endeckiej i że masa ta posiada własną indywidualność, która się nie mieści w ramach rdzenie polskich stronnictw chłopskich jak „Wyzwolenie”, „Piast” i t. p.

Powstanie odrębnej organizacji miejscowej obejmującej tych włościan Wileńszczyzny, którzy się posługują mową polską, należy uważać za wielki krok naprzód w sprawie usamodzielnienia naszego kraju. Tą drogą tylko bowiem ludność polska potrafi dojść do porozumienia z ludnością białoruską i litewską na gruncie wspólnych dążeń.

Po oderwaniu się od P. P. S. autonomicznej grupy wileńskiej robotników polskich przyszła kolej na drugie stronnictwo klasowe — chłopskie. Przyptyw centralistyczno-unifikacyjny się skończył. Następuje odpływ.

Paradoks.

Usadowienie się na fotelu ministerjalnym p. Meysztowicza prócz znaczenia politycznego, o czym mowa jest w artykule wstępnym, nasuwa również pewne refleksje pod względem społecznym.

Jakkolwiek się zapatrywać na udział przedstawicieli ziemiaństwa polskiego w uroczystości odsłonięcia pomnika Katarzyny II w Wilnie, czy potępić go ostro i bezwzględnie, piętnując mianem hańby narodowej, jak to uczyniła w swoim czasie patriotyczna opinja polska za kordonem, czy też traktować bardziej pobłażliwie, uważając go za czyn może niefortunny, lecz pozostający w zgodzie z programem ówczesnej polityki realnej, — w żadnym razie nie sposób w tym jaskrawym objawie oportunistu dopatrzeć się jakichkolwiek cech idealizmu, jakichkolwiek walorów moralnych.

Można więc przy dobrych chęciach przyznać p. Meysztowiczowi takie niewątpliwie cenne przymioty, jak trzeźwość w zapatrywaniach, umiejętność przystosowania się do okoliczności i warunków, posybilizm, wyższość umysłową nad otoczeniem, hołdującem jeszcze wówczas przesądom romantycznym, ale najgorętszy wielbiciel talentów politycznych p. Meysztowicza nie będzie widział w nim wyobraziciela i szermierza szczytnych ideałów ani narodowych, ani ogólnoludzkich.

Dziwnie więc wygląda obecność byłego kamerjunkra carskiego właśnie w rządzie „odrodzenia moralnego”, który postawił sobie za zadanie oczyszczenie zatechłej atmosfery państwowej z rozkładowych pozostałości niewoli. Tyle mówiono i rozpisywano się po przewrocie majowym o sanacji moralnej, o nowym duchu w polityce, o głębokich przeobrażeniach i reformach, i w rezultacie po kilku miesiącach nieudanych prób powołano do współpracy w tem zamierzonym gigantycznym dziele, wymagającym młodych sił, wiary i zapału — typowego przedstawiciela *ancien regime'u*, zdecydowanego reakcjonistę, nie rozumiejącego zupełnie współczesnych prądów społeczno-politycznych, dawnego ugodowca, chyłącego czoło przed siłą i przemocą. Trudno o większą ironję i większy paradoks życiowy.

Były rewolucjonista, przywódca P. P. S., redak-

tor „Robotnika” obok byłego członka Rady Państwa i „kataryniarza” — zaiste widok to niepowszedni! Polityka zmusza nieraz do najnieprawdopodobniejszych kompromisów — to prawda, ale też polityka bardzo mało ma wspólnego z etyką. Więc pocóż te frazesy o odrodzeniu moralnem?

Licz.

Piszą do nas.

Nieściste informacje.

I.

Z dużą satysfakcją przeczytałem w Nr. 16 „Przeglądu Wileńskiego”, zajmujący artykuł p. Euzebjusza Łopacińskiego: Nad Dźwiną (wrażenia z wycieczki). Kilka tylko szczegółów w nim wymaga sprostowania.

Przedewszystkiem nieściste informacje otrzymał p. Łopaciński o kazaniach białoruskich, które w okolicach Druż rękomo głoszą „ks Borek (sic) z Idolty lub jakiś (!) ks. Witalis z Druż”. Istotnie jest w Idolcie ks. Boryk, ale nie pamiętamy, by on głosił gdzieś u nas takie kazania. Jest też w Druż o. Witalis Chamionek, Marjanin, ale on w żadnej z wymienionych przez p. Ł. miejscowości kazań białoruskich nie głosił. Nie mieli tedy możności ich mieszkańcy wyrobić sądu właściwego o języku kazań tych księży.

W pewnem znowu miejscu swych wrażeń z wycieczki w okolice naddźwińskie autor trochę przesadził w pochwałach. Może to był odruch nieświadomy pióra, które musiało, niestety, wskazać wprzód cały szereg ciemnych stron w życiu naszego zakątku.

Widać też, że nie doszła do uszu p. autora wiadomość o pomocy siewnej, wydawanej żytem przez kasę Stefczyka w Druż, skoro o tem wzmianki nie uczynił.

Drujanin.

II.

Jako dawny a życzliwy znajomy o. Zenona Szymkiewicza, proboszcza obrz. gr.-kat. w Iwacewiczech (Kossowszczyzna) ze zdumieniem przeczytałem w liście do redakcji „Przeglądu Wileńskiego” (Nr. 15) wiadomość o zasłęż rękomo metamorfozie w przekonaniach narodowych tego kapłana. Wiem też, że miarodajne dlań czynniki w Pińsku, jako ośrodku diecezji pińskiej, były zdziwione informacją autora listu. Osobiste niedawne spotkanie się z o. Szymkiewiczem w Wilnie rozwiła resztę wątpliwości. Wobec tego poczuwam się do obowiązku oświadczyć niniejszem, że o. Szymkiewicz nie przestaje być Białorusinem, a sporadyczne wygłoszenie w cerkwi gr.-kat. polskiego kazania, za aprobatą władzy duchownej, nie może być jeszcze dowodem jakiegoś zaprzaństwa. Czyż są to *incompatibilia* w kraju tak mieszanym narodowościowo jak nasz?

Sądzę, że powyższe wyjaśnienie położy kres nieporozumieniu wynikłemu dokoła przekonań narodowych o Szymkiewicza.

Unjonista.

Cenzura naszych pedagogów.

Kuratorjum Wileńskie zabroniło szkołom litewskim Tow. Oświatowego „Rytas” używania między innymi, jako podręczników szkolnych: „Pierwsze czytanki” Niewiadomskiej, wydane w Warszawie i litewski „Kelias i szviesą” (Droga do światła), elementarz i II-ga część, pierwszy rok po elementarzu, wydane w Kownie w r. 1924.

Nie wchodząc w bliższe szczegóły, dlaczego Kuratorjum w Wilnie zabroniło używania czytanek Niewiadomskiej w powszechnych szkołach litewskich, stwierdzić wypada, że autorką tej zakazanej książki jest znana w Polsce działaczka na niwie pedagogicznej i do tego wielka patriotka. I jeszcze jedno godne uwagi: szkolny inspektor ludzki usilnie zaleca szkołom litewskim w swoim powiecie używanie

właśnie tych czytanek, które kuratorjum Wileńskie zabrania

Bardziej nas zajęła sprawa książki litewskiej, która mniej jest dostępną dla społeczeństwa polskiego. Otóż należy stwierdzić, że podręcznik ten znany jest jako dobry, a może najlepszy pod względem dydaktycznym elementarz, druga zaś część, pierwszy rok po elementarzu, również w niczem nie ustępuje pierwszej.

Kuratorjum, zabraniając używania elementarza i drugiej części, nie podało żadnych motywów, na których oparło swój srogi wyrok. Trudno się domyślić, czem się powodowały władze szkolne, wydając ten zakaz, gdyż treść obu podręczników jest całkiem niewinna. Przeglądając uważnie elementarz litewski znaleźliśmy na ostatniej karcie kilka zdań o ojczyźnie, które tu w przekładzie polskim podajemy: „Nasza Ojczyzna. My mieszkamy w Litwie. Tutaj mieszkają nasi rodzice i rodziców rodzice. Dlatego Litwa jest naszą ojczyzną. Ludzie kochają swoją ojczyznę. I my kochamy swoją Litwę”. Wreszcie: „Litwinami urodziliśmy się, Litwinami więc pozostaniemy! Ten zaszczyt odziedziczyliśmy od urodzenia i musimy go przekazać następnym pokoleniom”. Tylko tyle! W drugiej części, pierwszy rok po elementarzu, pomimo usilnych poszukiwań nic a nic trefnego znaleźć nie mogliśmy, zresztą niema tam ani słowa o Litwie i Litwinach. Więc jakie są powody wzbraniania używania tych podręczników?

Zakaz polskich władz szkolnych nabiera specyficznego zabarwienia w zestawieniu z faktem następującym. W państwie litewskim w szkołach polskich są używane „Wypisy Polskie” H. Gallego, które znane są z treści ultrapatriotycznej i wydane w Warszawie.

A więc... gdzie jest prześladowanie szkoły narodowej?

Nel. Brank.

Bibliografia.

Krywicz. № 10 (2) 1925 i № 1 (11) 1926.

„Krywicz”, — *de facto* nieperjodyczny białoruski organ W. Łastowskiego w Kownie, na szpaltach „Przeglądu Wileńskiego” nie potrzebuje już rekomendacji. Więc tylko o treści dwóch ostatnich numerów po kolei słów kilka tu powiemy.

W № 10 „Krywicza”, pomijając część jego literacką, zwrócimy odrazu uwagę na artykuły treści historycznej, które zawsze wypełniają większą część zeszytu. A. Szlubiński rozpoczyna ich serję przyczynkiem do życiorysu P. Szejna, gdzie daje nieco nowe oświetlenie postaci tego etnologa, redukując jego zasługi dla folkloru białoruskiego. Napewno z czasem niejeden jeszcze z przesadnie rozreklamowanych badaczy białoruskości pod tym względem zredukowany zostanie, bez ujmy dla swych właściwych a niezaprzeczalnych już zasług.

Ciekawszy swemi zastanawiającymi zestawieniami jest następny artykuł A. Matacza: *Abszar zajmowany Krywiczami i kryuską kolonizacją*. Że w takiej pracy nie uniknie się czasem stawiania zbyt śmiałych mostków logicznych między przeszłością a nomenklaturą dzisiejszą, jest rzeczą jasną. Ale przecież i hipotezy mają w nauce swą wartość... bo najśmielsze fantazje więcej się przydadzą, niż zadrappowane w togię mędrca *far niente*.

Jeszcze bardziej za sztandarowy dla „Krywicza” trzeba uważać szkic J. Sulimirskiego: *Ab nazowach „Kriwija” i „Biełarus”*. Jak się okazuje, terminu *Crivitia* używa już niemiecki kronikarz w. XIV Dusbürg i włoski autor żywota św. Praksedy (tylko *Regina* znaczy nie *królowna*, lecz *królował*), autor przypomina dalej szereg faktów, wzmacniających stanowisko zwolenników zamiany terminów Białoruś i Białorusin na Krywja i Krywicz. (Notujemy w tym artykule neologizm *pažadniki* dla określenia... reakcjonistów).

Znowu, jako *fontes* drukuje Włost fragment laptopisu, mówiący o Krywiczach. Egzegezę historyczną treści znajdujemy w obszernych komentarzach wśród tekstu.

Pierwiastek dyskusyjny w omawianym zeszycie „Krywicza” wyraził się w „*Našpieuszom pytañni*”, gdzie filolog A. Matacz mówi o potrzebie białoruskiego zjazdu naukowego, któryby się zajął przede wszystkim ustaleniem fonetyki, ortografii i składni mowy białoruskiej. Zbyt specjalny ten artykuł, może zanadto już zwięzić koło tych, co poczuwać się będą uprawnionymi do wzięcia udziału w takim zjeździe, a to nie powinno leżeć w płaszczyźnie intencji inicjatora dyskusji!

W. Ł. pisze dalej w krótkiej notatce *O pryczynach zaniapadu kryuskaj mowy u XVII s.* Wiele jest tego przyczyn, a nie najmniejszą — jawnie polonizatorska tendencja wszelkich szkół w. XVII, gdy tradycje czasów Zygmunta Augusta dobrze poszły w zapomnienie.

Dr. Janka Stankiewicz (podówczas jeszcze kand. fil.) zamieścił obok ściśle filologiczną rozprawę (*Paczatnaje „o—e” u sławiańskich mowach*)

Pogoszczanin ogłasza w „Krywiczu” wspomnienia z niedawnej przeszłości (*Pabost*).

J. Wereszczaka zaznajamia nas z wynikami rozczytywania się w języku aktowym, skąd wylawia dużo wartościowych słów.

Zasłużoną opinią cieszą się w „Krywiczu” „*Zapiski*”, zawierające niekiedy rzeczy arcyciekawe (spis białoruskich rytowników, rozpatrywanie białoruskich pamiątek kulturalnych w latach 1918 — 1920 i w in.).

W całym dużym zeszycie polityce aktualnej poświęcił Łastowski tylko kilka stron i to na końcu, gdzie ustosunkował się do ostatnich wypadków wśród emigracji białoruskiej w Berlinie. Kończąca *Knigopiś i Krytyka* omawia kilka książek z dziedziny białorusoznawstwa, wydanych w Mińsku Białoruskim.

Dziś u Białorusinów daje się zauważyć prąd w kierunku tłumaczenia Pisma św. na mowę białoruską. Spłaca tan dług i Łastowski, podając na wstępie ostatniego zeszytu „Krywicza” tłumaczenia Salomonowych *Pieśni pieśniaw*. Krok swój uzasadnia tłumacz słowy: *My Krywiczy naogul mała znajem Bibliju*. Dawne biblie białoruskie istotnie stały się rzadkością muzealną, a nowych się nie wydaje, wielka tedy jest potrzeba przekładów współczesnych. Łastowski lubi egzotyczność, więc zaraz na drugim miejscu po tym przekładzie dał *Indyjskuju apowieść*.

Obszerny traktat A. Uzniesianskiego: *Paetyka M. Bahdanowicza*, wydany jednocześnie w Kownie w osobnej książce, wymaga szczegółowej i fachowej oceny, której się nie podejmujemy.

Z kolei tenże Łastowski drukuje ciekawe *Moje uspaminy ab M. Bahdanowiczu*, dające pojęcie naogół o warunkach pracy białoruskiej w Wilnie przed wojną.

Al. Szlubiński imponuje swą skrzętną pracowitością

cią. Oto zebrał i zestawił białoruskie legendy, których drukować nie pozwalała cenzura carska. Z pewnym niedowierzaniem czytamy dalej notatkę o tem, jakoby na Białorusi wśród prawosławnych w XVI w. byli tacy, co obchodzili zamiast niedzieli — piątek. Czy nie opiera się ten dziwoląg na jakimś nieporozumieniu? Króciuchny wyciąg odnośny z aktów nie jest jedynie miarodajnym tu źródłem.

Doskonale zato czuje się Włast, gdy mówi nam o *Żywej staraświeczczyźnie*. Ale czy na tem koniec numeru? Bogaty w treść, zawiera on jeszcze sporo artykułów, o którym choć krótką winniśmy uczynić wzmiankę. Tak, Veritatis pisze *ab „sławiaństwie” maskalou* (redukując je b. znacznie); Peregrinus daje: *Todar Dastajeuski i Adam Mickiewicz, syny krywickało narodnało genija*; Miles — *Buduczaja polska sawieckaja wajna* (na terytorjum Białorusi). J. Wereszczaka pisze o tem, co sprzyja wzrostowi i upadkowi narodów i państw.

Nie nowymi faktami, lecz nowem ujęciem zainteresować może czytelnika konsekwentny artykuł Łasta: *Unija*. Autor zbyt powierzchownie traktuje zjawiska historyczne, skoro waży się twierdzić, że *dobmatycznija razychodżeńni byli pryduwany tolki (!) za apraudańnie padziełu*. Nie bez błędów przedstawiona jest u niego historia Bazylianów na Białorusi. Mimo wszystko artykuł jest ciekawy i dużo wywodów Łasta jeszcze nieraz w polemice znajdzie żywe echo. Szkoda tylko, że nie są podane źródła. J. Romm wystąpił ze zbyt może pobieżnym *narysom z stara-brajskaj antropologii*.

Tak w poprzednim numerze „Krywicza”, jak w tym ostatnim polityka uwzględniona została na szarym końcu. Mamy tu artykuł Antoniego Reutta: *Para aczyszczacz atmosferu*, którego ostrze godzi w białoruskich Śmierdziakowych. Jest to apel do sanacji moralnej, atoli nie budzi on zaufania. Zarzuty są zbyt tendencyjne i bezwzględne, przebijają z nich osobista animozja. A szkoda! Oględniejsze formułowanie oskarżenia byłoby dlań dobrą rekomendacją.

Zapiski w № 1 obfite i b. zajmujące. O nich szerzej było w jednym z ostatnich numerów „Przeгляdu Wileńskiego”.

Szereg mało u nas znanych publikacji omówionych w *Knigopisi*, uzupełnia numer.

ex.

KRONIKA.

Idée fixe prof. Zdziechowskiego. Swe przemówienie przy otwarciu roku akademickiego poświęcił rektor M. Zdziechowski oczywiście kwestji bolszewizmu. Znalazł się w niem zwrot następujący: „Z ust przyjaciół moich słyszę znowu, że zbyt dużo i zbyt często mówię o bolszewizmie; w gazetach i pismach, np. w „Przeгляdzie Wileńskim” piszą o moim „chorobliwym” strachu przed bolszewizmem. O jakbym chciał, ażeby to dzisiaj-przemówienie było ostatniem, w którym tę sprawę poruszam, ale milczeć nie wolno, dopóki bolszewizm jest połączony, bolszewizm tu także, w całym kraju naszym, w Wilnie grasującą zarazą”.

Jeżeli jest tak, to czemu pan rektor swej propagandy antybolszewickiej nie przeniesie w to środowisko, gdzie może mieć ona wpływ konkretny i gdzie zetknięcie się bezpośrednio z agitacją komunistyczną? Audytorjum uniwersyteckie napewno nie sympatyzuje z ideologją bolszewizmu, czyż warto więc marnować talent krasomówczy, aby przekonywać przekonanych? Uniwersytet jest świątynią nauki a nie trybuną poli-

tyczną. Oto dlaczego pozwoliliśmy sobie kiedyś uczynić aluzję do chorobliwej „idée fixe” Magnificencji.

W zapale. Szóstą rocznicę wkroczenia wojsk Żeligowskiego do Wilna „Słowo” w tonie najwyższej egzaltacji wita jako rocznicę „wyrwania Wilna z bolszewickiej niewoli”. W d. 19 kwietnia zapewne „Słowo” złoży entuzjastyczne podziękowanie Piłsudskiemu za uwolnienie Wilna od jarzma litewskiego. Że te dwie rocznice pomieszały się zupełnie w głowie bezmiennego publicysty organu monarchistów wileńskich, świadczy o tem ustęp końcowy artykułu, rozpoczynający się od słów: „Bogu Najwyższemu dziękując w dniu dzisiejszym za odniesione zwycięstwo, jedno z najświetniejszych i najbardziej błyskawicznych.” Jeżeli zajęcie Wilna prawie bez walki przez gen. Żeligowskiego ma stanowić jeden z najświetniejszych triumfów oręża polskiego, to polska historia wojenna, w pojęciu autora, jest niezmiernie uboga. Cóż znaczy bitwa pod Wiedniem wobec czynu Żeligowskiego?

Dla „krasnago słowca”. „Federacja z Mińskiem, lecz nie z Nowogródkiem, federacja z Kijowem, lecz nie z Lwowem!” — woła p. Cat w „Słowie”. Zupełnie słusznie. Zapomina jednak p. Cat, że gdyby nastąpiła federacja z Mińskiem, to *eo ipso* i Nowogródek znalazłby się na terytorjum sfederowanej z Polską Białorusi, a federacja z Kijowem doprowadziłaby również do oderwania Wschodniej Galicji na rzecz sfederowanej Ukrainy. Czy imperjaliści ze „Słowa” przewidują tę ewentualność i czy nic przeciwko niej nie mają? Jest to więcej niż wątpliwe. Poco więc rzucać gromkie, lecz puste frazesy!

Konsekwentny program. Podczas wyborów do wileńskiej Kasy Chorych szeroko była kolportowana lista Nr. 8 „Związków i Organizacji Polskich Pracodawców”, zapowiadająca, że jej kandydaci będą popierać wszelkie usiłowania, zmierzające ku temu, by Kasa Chorych była rzeczywiście instytucją, któraby należałoby wykonywać swe wyłączenie zadanie niesienia pomocy ubezpieczonym i ich rodzinom w chorobie, natomiast zwalczać będą wszelkie dążenia do wyzyskiwania terenu Kasy Chorych *dla celów partyjnych i politycznych*.

Tuż zaraz jednak odezwa nawołuje wyborców do stawienia się jak jeden mąż przy urnach wyborczych, aby w ten sposób zadokumentować *polski charakter* tej instytucji i dowiedzieć, że w polskim Wilnie polskie są nie tylko ulice, ale i to co przy tych ulicach mieści się, działa i żyje.

Pomijając już, że autorzy odezwy nie znają dobrze Wilna, gdyż szereg ulic jak Szklana, Rudnicka, Straszuna i t. d. ma charakter ściśle i wybitnie żydowski, a nie polski, czyż dążenie do wyłączności, a przynajmniej supremacji narodowościowej nie jest celem politycznym? Ogół pracodawców Polaków zdaje się być głęboko przekonany, że szerzenie endecckiego światopoglądu jest nakazem moralnym, niemal religijnym, polityka zaś zaczyna się dopiero wtedy, gdy ktoś głosi przekonania odmienne.

Bujna imaginacja. Znaną jest rzeczą, że zawodowi korespondenci pism lubują się w jaskrawych opisach i zgęszczaniu barw w swych doniesieniach. Specjalnem zamiłowaniem do przesady odznacza się korespondent wileński „Kurjera Porannego”, który już niegdyś alarmował czytelników warszawskich sensacyjnymi wiadomościami o rozmaitych wydarzeniach w Wilnie i Wileńszczyźnie, które na miejscu nikogo nie interesowały i niczyjej nie zwracały uwagi. Każdy drobniak nabiera w jego ujęciu niezwykłych rozmiarów i niebywałego znaczenia.

W jednym z „Kurj. Por.” numerów czytamy np. „Dn. 15 września powróciła do Wilna z manewrów 1-sza dywizja legjonowa. Witano ulubieńców Wilna z entuzjazmem. Tłumy ludzi wybiegły na ulice... i t. d.”. Ulubieńcy, tłumy, entuzjazm — cóż za bujna imaginacja reporterska! Należało dodać jeszcze: *comy udekorowane, bramy triumfalne, deputacje, kwiaty... Czegoż sobie żalować?*

Treść numeru: Demo stracyjny gabinet, — *Latwoicus*. W pierwszej rocznicę wskrzeszenia Unji w Wilnie. — *H. R. Niepoprawni* — *E. Łopaciński*. Jeszcze o nadużywaniu cierpliwości. — *K. Skirmunt*. Postronna polemika ze „Słowem” — *Obserwator*. Dziesięciolecie „Krynicy” — *Licz.* Z mego notatnika. — *Piszą do nas*. — *Nel. Brank*. Cenzura naszych pedagogów. — *Bibliografja*. — *Kronika*.